Tylko my wiemy, gdzie skręcić

Nie każdą bliskość trzeba zaznaczyć na mapie



Laura Bellini

Tylko my wiemy, gdzie skręcić

Nie każdą bliskość trzeba zaznaczyć na mapie

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384904008

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Linia, której nie chciałam przesunąć 12
Rozdział 2 - Miejsca, do których wracamy 24
Rozdział 3 - Tam, gdzie kończy się pewność 40
Rozdział 4 - Godzina bez mapy 52
Rozdział 5 - Prawo do własnego kroku 67
Rozdział 6 - Odległość jednego oddechu 78
Rozdział 7 - To, czego nie widać na mapie 94
Rozdział 8 - Ludzie, którzy zostają 105
Rozdział 9 - Cena dobrego kierunku 118
Rozdział 10 - Zostań, kiedy zgaśnie światło 130
Rozdział 11 - Poranek bez wyznaczonej trasy 141
Rozdział 12 - Miejsce, które należy do innych 153
Rozdział 13 - Granica odpowiedzialności 166
Rozdział 14 - Prawda, na którą trzeba zasłużyć 176
Rozdział 15 - Obietnica złożona komuś innemu 187
Rozdział 16 - Drogi, które muszą się rozdzielić 201
Rozdział 17 - Własną drogą 213
Rozdział 18 - Miejsce przy wspólnym stole 224
Rozdział 19 - To, co naprawdę zostawiamy na mapie 235
Rozdział 20 - Tylko my wiemy, gdzie skręcić 247

INTRO

Pierwszy raz zgubiłam się na trasie, którą sama narysowałam, w czwartek o dziewiątej siedemnaście rano.

Nie była to okoliczność, którą zamierzałam umieścić w raporcie dla wydawnictwa.

Stałam na rozwidleniu leśnych dróg w Beskidzie Sądeckim, z telefonem w jednej dłoni i papierową mapą w drugiej, próbując przekonać samą siebie, że problem leżał w nieaktualnych danych satelitarnych. Przede mną wznosił się porośnięty bukami stok. Po lewej stronie ścieżka schodziła łagodnie między drzewa, po prawej znikała za zakrętem, którego według mojego projektu w ogóle nie powinno tam być.

Obie wyglądały na używane. Żadna nie miała oznaczenia.

— Fantastycznie — mruknęłam.

Mgła wisiała nisko nad doliną. W wilgotnym powietrzu czułam zapach ziemi, mokrych liści i dymu z odległych domów. Było zimniej, niż zapowiadała prognoza, a mój wełniany sweter, kupiony głównie ze względu na kolor, okazał się kiepską ochroną przed listopadowym chłodem.

Na ekranie telefonu migał niebieski punkt. Według aplikacji znajdowałam się kilka metrów od przebiegu projektowanej trasy. Według własnych oczu stałam dokładnie tam, gdzie powinnam.

Miałam trzydzieści jeden lat, osiem lat doświadczenia w opracowywaniu map turystycznych i zawodową niechęć do ludzi, którzy twierdzili, że przecież wystarczy iść przed siebie.

Niestety właśnie skończyły mi się lepsze pomysły.

Wybrałam prawą odnogę.

Po kilkunastu krokach zobaczyłam człowieka stojącego przy drewnianym słupku. Mężczyzna miał na sobie ciemną kurtkę, gruby szary sweter i zabłocone buty trekkingowe. Był wysoki, z krótkimi ciemnymi włosami i twarzą, na której kilkudniowy zarost wyglądał bardziej jak świadomy wybór niż zaniedbanie.

Przyglądał się mojej mapie z odległości kilku metrów.

— Tamtędy pani nie dojdzie — powiedział.

Nie zapytał, dokąd idę. To od razu mnie zirytowało.

— A skąd pan wie, dokąd zamierzam dojść?

— Bo ta droga się kończy.

Spojrzałam za jego plecy.

— Na mojej mapie prowadzi dalej.

— W takim razie mapa ma ambitniejsze plany niż droga.

Powinnam była zignorować ten komentarz. Zamiast tego złożyłam arkusz i podeszłam bliżej.

— Droga została zamknięta?

— Nie. Po prostu nie prowadzi tam, gdzie pani myśli.

Mówił spokojnie, bez protekcjonalnego tonu. Jego głos był niski, lekko zachrypnięty, jakby rano wypił zbyt gorącą kawę albo przez większość życia rozmawiał na świeżym powietrzu.

— Jestem kartografką — oznajmiłam.

Kącik jego ust uniósł się ledwie zauważalnie.

— To wiele wyjaśnia.

— Co konkretnie?

— Dlaczego bardziej ufa pani kresce niż własnym butom.

Miałam gotową odpowiedź, lecz zatrzymałam ją w ostatniej chwili. Mężczyzna nie patrzył na mnie z wyższością. Wyglądał raczej na kogoś autentycznie zaciekawionego tym, co zrobię.

To było znacznie bardziej niepokojące.

— Kaja Soból — przedstawiłam się, wyciągając rękę. — Przygotowuję nową trasę spacerową do przewodnika po Beskidzie Sądeckim.

Ujął moją dłoń. Jego palce były chłodne, skóra szorstka od pracy na zewnątrz. Uścisk miał pewny, ale nie próbował zatrzymać mnie dłużej, niż wymagało powitanie.

— Szczepan Roj. Przewodnik.

Nazwisko rozpoznałam natychmiast.

Na liście współpracowników regionalnych, którą przesłało mi wydawnictwo, widniał właśnie Szczepan Roj. Człowiek odpowiedzialny za konsultacje terenowe, ocenę bezpieczeństwa i kontakt z mieszkańcami. Mieliśmy spotkać się następnego dnia w Piwnicznej-Zdroju.

— Pan miał być jutro.

— A pani miała zacząć od zachodniego odcinka.

Spojrzałam na niego podejrzliwie.

— Skąd pan wie?

— Dostałem harmonogram.

— Harmonogram jest orientacyjny.

— Zauważyłem.

W jego spojrzeniu dostrzegłam rozbawienie, ale także coś trudniejszego do nazwania. Uważność. Jakby zamiast szukać sposobu na wygranie rozmowy, próbował ustalić, dlaczego tak bardzo zależało mi na postawieniu na swoim.

To było niewygodne, ponieważ sama znałam odpowiedź.

Po dwóch latach przygotowywania cudzych projektów wreszcie dostałam możliwość podpisania własnego przewodnika. Nie jako podwykonawczyni, nie jako osoba poprawiająca błędy po kimś ważniejszym. Moje nazwisko miało znaleźć się na stronie tytułowej, a zaprojektowana przeze mnie trasa stać się jednym z najważniejszych elementów publikacji.

Nie chciałam zaczynać tej współpracy od przyznania, że nie potrafię znaleźć właściwej ścieżki.

Szczepan spojrzał w stronę rozwidlenia.

— Co chce pani pokazać ludziom?

— Łagodną, dostępną trasę. Z widokami, kilkoma miejscami odpoczynku i możliwością przejścia pętli bez konieczności wracania tą samą drogą.

— Brzmi rozsądnie.

— Dziękuję.

— Dopóki nie narysuje się jej przez czyjeś podwórko.

Zamarłam.

— Przebieg sprawdziłam w dostępnych materiałach.

— Wiem. Dlatego proponuję sprawdzić go również tutaj.

Odwrócił się i wskazał wąską ścieżkę pomiędzy bukami. Nie zauważyłam jej wcześniej. Była ledwie widocznym pasem ubitej ziemi, częściowo zasłoniętym przez opadłe liście.

— Skrót? — zapytałam.

— Raczej inny sposób dotarcia do odpowiedzi.

Nie ruszyłam od razu.

— Lubi pan mówić zagadkami?

— Tylko kiedy ktoś przychodzi z gotową odpowiedzią.

Powinnam była poczuć wyłącznie irytację. Tymczasem po raz pierwszy tego ranka naprawdę chciało mi się uśmiechnąć.

Wyciągnęłam telefon, żeby sprawdzić kierunek ścieżki, ale Szczepan uniósł dłoń.

— Tego odcinka proszę na razie nie zapisywać.

— Dlaczego?

Przez chwilę przyglądał się drzewom.

— Bo nie wszystko, co można znaleźć, powinno od razu trafić do przewodnika.

Nie spodobało mi się to zdanie. Szczególnie wypowiedziane przez człowieka, który miał pomagać mi w tworzeniu mapy.

— Moim zadaniem jest pokazywać ludziom miejsca warte odwiedzenia.

— A moim dopilnować, żeby po ich odwiedzinach nadal były warte zobaczenia.

Przez moment patrzyliśmy na siebie bez słowa.

Wiedziałam już, że nie będzie łatwym współpracownikiem. Nie należał do osób, które podpisują wszystko dla świętego spokoju. Co gorsza, miał ten szczególny rodzaj spokoju, który potrafił zamienić zwykłą wymianę zdań w wyzwanie.

Schowałam telefon do kieszeni.

— Mogę zobaczyć, dokąd prowadzi ta ścieżka, nie obiecując, że ją pominę?

Szczepan spojrzał na mnie inaczej. Uważniej, bez wcześniejszego rozbawienia.

— Tak — odpowiedział. — To uczciwe.

Ruszyliśmy między drzewa.

Ścieżka była węższa, niż się spodziewałam. Gałęzie buków tworzyły nad nami sklepienie, a mgła przesączała się między pniami jak rozlane mleko. Szczepan szedł przede mną, lecz kiedy teren stał się bardziej stromy, zwolnił, pozwalając mi wybrać własne tempo.

Nie proponował pomocy, której nie potrzebowałam. Nie komentował moich butów ani decyzji. Dopiero przy śliskim korzeniu zatrzymał się i wskazał bezpieczniejsze przejście.

— Po lewej jest stabilniej.

— Widzę.

— Wiem.

Uśmiechnęłam się mimo woli.

Kilka minut później las się przerzedził. Przed nami pojawiła się niewielka polana, osłonięta od wiatru. Stała na niej stara drewniana ławka, a za nią dolina opadała ku domom, których dachy ledwie wystawały ponad mgłę.

Nie było tablicy informacyjnej, kosza ani wydeptanego szerokiego dojścia. Ktoś jednak zadbał o ławkę. Deski wyglądały na niedawno wymienione, a obok leżała starannie ułożona sterta drewna pod niewielkim zadaszeniem.

Na jednym z oparć ktoś wyciął małe serce i dwie litery.

Szczepan zatrzymał się na skraju polany.

— Pięknie tutaj — powiedziałam cicho.

Nie odpowiedział od razu.

— Właśnie.

Wyjęłam aparat. Światło było idealne, miękkie i srebrzyste, a miejsce miało wszystko, czego szukałam: spokój, widok i wrażenie odkrycia czegoś wyjątkowego.

W obiektywie zobaczyłam Szczepana.

Stał kilka kroków dalej, z rękami wsuniętymi do kieszeni kurtki. Patrzył na polanę z czułością, której nie próbował ukryć. Nagle przestał być tylko przystojnym, upartym przewodnikiem. Zobaczyłam człowieka, dla którego ten skrawek ziemi znaczył coś osobistego.

Opuściłam aparat, zanim zrobiłam zdjęcie.

— Szczepan?

Odwrócił głowę.

— Tak?

— Dlaczego naprawdę nie chce pan, żebym zaznaczyła to miejsce na mapie?

Popatrzył na ławkę, potem na mnie. W jego milczeniu było więcej ostrożności niż w całej wcześniejszej rozmowie.

— Bo czasami mapa nie pokazuje najważniejszego.

Podeszłam bliżej, aż dzielił nas zaledwie krok. Zapach mokrej wełny mieszał się z chłodnym powietrzem. Nie odsunął się, ale pozwolił mi zdecydować, jak blisko chcę stanąć.

— A jeśli potrafię narysować coś, czego pan jeszcze nie widzi? — zapytałam.

Przez moment patrzył mi prosto w oczy.

— Wtedy będę musiał nauczyć się pani ufać.

Nie wiedziałam, dlaczego te słowa zabrzmiały bardziej intymnie niż komplement. Wiedziałam tylko, że po raz

pierwszy od dawna czyjaś opinia zaczęła znaczyć dla mnie więcej, niż powinna po niespełna godzinie znajomości.

Szczepan odwrócił wzrok ku dolinie, pozostawiając mi przestrzeń do namysłu.

A ja spojrzałam na niezapisaną ścieżkę i pomyślałam, że mogę jeszcze wybrać własny kierunek.

Tylko czy naprawdę chciałam wracać sama?

Rozdział 1 - Linia, której nie chciałam przesunąć

Kiedy zeszliśmy z polany, Szczepan nie próbował przekonywać mnie, że powinnam usunąć ją z projektu. To było niemal bardziej irytujące niż jego wcześniejsze uwagi. Spodziewałam się argumentów, ostrzeżeń i kolejnej porcji góralskiej mądrości o ludziach, którzy przyjeżdżają z miasta i myślą, że wiedzą wszystko. Tymczasem prowadził mnie przez las, wskazywał śliskie korzenie i odpowiadał na pytania dotyczące nachylenia terenu. Zachowywał się jak profesjonalista, któremu powierzono konkretne zadanie. Tylko kiedy spojrzałam na niego ukradkiem, dostrzegłam napięcie w linii jego szczęki.

Postanowiłam nie wracać do tematu, dopóki nie zbierzemy większej ilości danych.

Moje postanowienie wytrzymało jedenaście minut.

— Wiesz, że w przewodniku nie mogę zostawić białej plamy tylko dlatego, że ktoś lubi dane miejsce? — zapytałam, przeskakując niewielki strumień.

Szczepan zatrzymał się po drugiej stronie.

— Nie prosiłem cię o białą plamę.

— Poprosiłeś, żebym niczego nie zaznaczała.

— Na razie.

— To dość wygodne określenie.

Wyciągnął rękę, wskazując kamień, na którym mogłam bezpiecznie postawić stopę. Skorzystałam ze wskazówki, nie z pomocy. Przyjął to bez komentarza.

— Kaja, nie znam jeszcze całego twojego projektu. Ty nie znasz całego terenu. Może najpierw sprawdzimy, z czym mamy do czynienia?

Sposób, w jaki wypowiedział moje imię, odrobinę złagodził sens słów. Nie brzmiało ono jak polecenie ani protekcjonalne upomnienie. Raczej jak zaproszenie do rozmowy, w której każde z nas miało prawo nie zgadzać się z drugim.

— W porządku — odpowiedziałam. — Ale chcę wiedzieć, jakie masz zastrzeżenia, zanim naniosę poprawki.

— Uczciwe.

— Używasz tego słowa, kiedy nie możesz znaleźć lepszej odpowiedzi?

— Używam go, kiedy ktoś stawia rozsądny warunek.

— Czyli niezbyt często?

Uśmiechnął się.

— Dzisiaj już drugi raz.

Przez następne pół godziny szliśmy odcinkiem, który w moim projekcie figurował jako łatwa trasa rodzinna. W rzeczywistości miał dwa strome podejścia, jedno rozmyte zejście i fragment, na którym po deszczu woda spływała środkiem ścieżki. Robiłam zdjęcia, zapisywałam współrzędne i notowałam uwagi. Szczepan nie zaglądał mi przez ramię. Kiedy chciał coś pokazać, czekał, aż skończę.

Ta cierpliwość zaczynała mi imponować.

Przy starym przepuście zatrzymaliśmy się na dłużej. Kamienie podmyła woda, a prowizoryczna drewniana kładka wyglądała na dzieło człowieka, który miał więcej optymizmu niż odpowiednich materiałów.

— Tędy naprawdę chodzą mieszkańcy? — zapytałam.

— Chodzą. Ale wiedzą, czego się spodziewać.

— Turysta nie będzie wiedział.

— Właśnie.

Przyklęknęłam i obejrzałam konstrukcję z boku. Jedna z desek odchodziła od poprzecznej belki, a przyczółek po drugiej stronie osunął się o kilka centymetrów.

— Tego odcinka nie przepuszczę — oznajmiłam.

Szczepan skinął głową.

— Zgadzam się.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

— Tak po prostu?

— Mam się sprzeciwić dla zachowania równowagi?

— Byłoby konsekwentnie.

Roześmiał się. Nie był to głośny śmiech, ale jego twarz nagle zrobiła się młodsza, swobodniejsza. Zauważyłam drobną zmarszczkę przy lewym oku i niespodziewanie zapragnęłam sprawdzić, jak często się pojawiała.

Szybko wróciłam do notatek.

— Możemy poprowadzić trasę wyżej, przez grzbiet — powiedziałam. — Wydłuży się o jakieś sześćset metrów, ale nachylenie będzie łagodniejsze.

— Pod warunkiem, że nie skierujesz ludzi przez prywatną łąkę.

— Jest tam przejście.

— Na starszych mapach.

Westchnęłam.

— Zaczynam mieć wrażenie, że cały Beskid Sądecki istnieje wyłącznie po to, żeby mnie ośmieszyć.

— Nie cały. Niektóre fragmenty mają inne zajęcia.

Podałam mu tablet z otwartą mapą.

— Pokaż mi więc, gdzie można przejść.

Przez chwilę analizował ekran. Stałam obok, dostatecznie blisko, żeby zobaczyć krople wilgoci na jego rękawie i niewielką bliznę biegnącą przez kostkę prawego kciuka. Pachniał lasem, kawą i czymś ciepłym, może mydłem cedrowym. Zastanowiłam się, czy zawsze zwracałam aż taką uwagę na współpracowników.

Nie. Zdecydowanie nie.

Szczepan wskazał wąski pas terenu.

— Tędy. Stara droga gospodarcza. Nadal publicznie dostępna, choć zarosła przy wejściu.

— Masz pewność?

— Sprawdzimy przebieg i status gruntu. Nie chcę, żebyśmy opierali decyzję tylko na mojej pamięci.

Te słowa zabrzmiały lepiej niż jakakolwiek deklaracja kompetencji.

Zaznaczyłam wariant roboczy.

— Czyli przyznajesz, że technologia czasami się przydaje.

— Nigdy nie twierdziłem inaczej.

— Po prostu masz osobisty konflikt z moim tabletem.

— Z twoim tabletem nie. Z twoją pewnością, że zawsze ma rację, trochę.

Zamknęłam etui.

— Moja pewność pozwala mi zarabiać.

Szczepan spoważniał.

— W takim razie rozumiem, dlaczego tak mocno jej pilnujesz.

Nie odpowiedziałam. Nie dlatego, że zabrakło mi argumentów. Raczej dlatego, że jego uwaga trafiła w miejsce, którego nie zamierzałam odsłaniać.

Kiedyś usłyszałam od przełożonego, że jestem doskonała w poprawianiu cudzych pomysłów, ale brakuje mi odwagi, żeby bronić własnych. Odeszłam z tamtej firmy sześć miesięcy później. Od tego czasu każdy projekt traktowałam jak dowód, że się mylił.

Szczepan nie mógł o tym wiedzieć. A jednak jego spojrzenie sprawiało, że miałam ochotę wyjaśnić mu więcej, niż wypadało podczas pierwszego dnia znajomości.

Do samochodów wróciliśmy po południu. Mgła ustąpiła, odsłaniając zbocza pokryte późnojesiennymi kolorami. Nogi miałam przyjemnie zmęczone, ale w głowie układała mi się już lista poprawek. Przed wyjazdem chciałam jeszcze przejrzeć cały przebieg trasy i ustalić, które odcinki wymagają dodatkowej weryfikacji.

Szczepan rozłożył papierową mapę na masce swojego terenowego samochodu. Ułożył na jej rogach dwa kamienie i termos, po czym wskazał palcem środkową część planowanej pętli.

— Tutaj mamy problem.

— Wiem. Przepust.

— Nie tylko.

Wskazał obszar, który obejmował również polanę.

— Jeśli poprowadzimy tędy oznakowaną trasę, zmieni się ruch na całym zboczu.

— Mówimy o trasie spacerowej, nie autostradzie.

— Rozumiem różnicę.

— Więc?

— Więc chciałbym, żebyśmy przed zatwierdzeniem przebiegu porozmawiali z ludźmi, którzy tam mieszkają.

Oparłam dłonie o maskę.

— Konsultacje społeczne nie są częścią mojego zlecenia.

— Kontakty z mieszkańcami są częścią mojego.

— To nie oznacza, że każdy właściciel domu może decydować, co znajdzie się w przewodniku.

— Nie proponuję głosowania nad twoją mapą.

— A co proponujesz?

— Żebyś nie publikowała dokładnego przebiegu tego wariantu, dopóki nie ustalimy, kogo dotknie zwiększony ruch.

Poczułam znajomy opór. Wydawnictwo oczekiwało ode mnie konkretnego produktu, harmonogram był napięty, a honorarium zależało częściowo od terminowego dostarczenia materiałów. Nie mogłam pozwolić, żeby projekt zamienił się w serię niekończących się rozmów.

— Mam cztery tygodnie na zamknięcie prac terenowych — powiedziałam. — Nie będę czekać miesiącami na nieokreśloną zgodę.

— Nie proszę o miesiące.

— A jeśli mieszkańcy powiedzą nie?

Szczepan przez chwilę milczał.

— Wtedy będziemy musieli rozważyć, czy istnieje rozwiązanie, które nie przerzuci całego kosztu naszej pracy na nich.

— Naszej?

— Oboje podpiszemy dokumentację terenową.

Spojrzałam na niego ostrzej.

— To nie znaczy, że masz prawo zablokować mój projekt.

— Nie mam. Mogę natomiast odmówić potwierdzenia bezpieczeństwa i zgodności trasy z rzeczywistymi warunkami, jeśli nie będę miał ku temu podstaw.

Wypowiedział to spokojnie. Bez groźby, bez podniesionego głosu. Właśnie dlatego potraktowałam jego słowa poważnie.

— Stawiasz mi ultimatum?

— Stawiam warunek własnemu podpisowi.

Przez kilka sekund słyszałam jedynie szum samochodu przejeżdżającego drogą poniżej parkingu.

— Wiesz, że mogę poprosić wydawnictwo o innego konsultanta?

— Tak.

— I to cię nie martwi?

Spojrzał na mnie uważnie.

— Martwi mnie bardziej to, że nie mielibyśmy wtedy tej rozmowy.

Odwróciłam głowę, udając zainteresowanie mapą. Miał w sobie nieprzyzwoitą umiejętność odpowiadania tak, że człowiek tracił ochotę na dalszą kłótnię, a jednocześnie wcale nie czuł się przekonany.

Wyjęłam telefon i zadzwoniłam do Magdy, redaktorki prowadzącej projekt.

Odebrała po trzecim sygnale.

— Kaja? Jak teren?

— Bardziej interesujący, niż zakładałyśmy. Mam propozycję korekty jednego odcinka i potrzebuję potwierdzenia, na ile możemy przesunąć termin ostatecznej akceptacji przebiegu.

— Duża zmiana?

— Potencjalnie istotna. Nie chcę zatwierdzać czegoś, czego jeszcze nie sprawdziliśmy.

Magda westchnęła.

— Skład rusza za pięć tygodni. Jeśli dostanę zamknięty przebieg w ciągu trzech, damy radę. Ale nie później.

— Przyjęłam.

Rozłączyłam się i spojrzałam na Szczepana.

— Trzy tygodnie. Tyle mamy na weryfikację i rozmowy. Żadnych niekończących się konsultacji.

— Wystarczy na początek.

— I żadnego ukrywania informacji przede mną.

Jego twarz znieruchomiała na moment.

— Zgoda.

— Szczepan, mówię poważnie.

— Ja też.

Wyciągnęłam rękę ponad mapą.

— W takim razie współpracujemy. Ale decyzje dotyczące treści przewodnika należą do mnie. Ty oceniasz teren,

bezpieczeństwo i przedstawiasz stanowisko mieszkańców. Jeśli się nie zgodzimy, zapisujemy rozbieżności.

Uścisnął moją dłoń.

— A jeśli okaże się, że masz rację?

— Będziesz musiał to przyznać.

— Brzmi boleśnie.

— Przyzwyczaisz się.

Nie puścił mojej dłoni natychmiast, choć nie próbował też jej zatrzymywać. To ja przez ułamek sekundy zwlekałam z cofnięciem palców. Zauważył to, jestem tego niemal pewna, ale miał dość taktu, żeby niczego nie komentować.

W końcu zabrałam rękę i zaczęłam składać mapę.

— Jutro dziewiąta? — zapytałam.

— Dziewiąta. Przy moście w Rytrze. Pokażę ci wariant, którego nie ma w twoich materiałach.

— Kolejną tajemniczą ścieżkę?

— Tym razem taką, którą sam chciałbym zobaczyć w przewodniku.

To mnie zaskoczyło.

— Czyli nie jesteś przeciwnikiem turystyki?

— Nigdy nim nie byłem.

— Masz bardzo skomplikowany sposób okazywania poparcia.

— A ty bardzo prosty sposób zakładania, że ktoś jest przeciwko tobie.

Otworzyłam usta, ale nie znalazłam odpowiedzi, która nie brzmiałaby dziecinnie.

Szczepan zdjął kamienie z mapy i zwinął ją starannie.

— Chciałbym, żeby ten przewodnik był dobry, Kaja. Naprawdę. Nie dlatego, że moje nazwisko znajdzie się w dokumentacji. Po prostu ludzie będą korzystać z tego, co przygotujemy.

W jego głosie nie było zawodowej uprzejmości. Brzmiał jak ktoś, kto zdążył już zobaczyć konsekwencje cudzych, pozornie niewielkich decyzji.

— Dla mnie też to ważne — odpowiedziałam ciszej.

— Wiem.

— Nie wiesz.

Zawahał się.

— Masz rację. Jeszcze nie.

To jedno słowo sprawiło, że poczułam niespodziewaną ulgę. Nie udawał znajomości moich motywacji. Nie próbował w dwóch zdaniach rozwiązać problemów, których nawet mu nie opowiedziałam.

Wieczorem rozłożyłam materiały na stole w wynajętym mieszkaniu w Piwnicznej-Zdroju. Za oknem padał deszcz, a na parapecie stał kubek herbaty, która dawno zdążyła wystygnąć. Na monitorze miałam otwarte trzy wersje przebiegu trasy. Każda rozwiązywała jeden problem, tworząc następny.

Pracowałam prawie dwie godziny, zanim zauważyłam, że wciąż wracam do fragmentu obejmującego polanę.

Nie miałam jej zdjęcia.

Przypomniałam sobie moment, w którym opuściłam aparat. Wtedy była to spontaniczna decyzja, podyktowana czymś w twarzy Szczepana. Teraz zastanawiałam się, czy nie popełniłam zawodowego błędu. Dokumentacja

fotograficzna powinna być kompletna niezależnie od osobistych odczuć.

Otworzyłam plik z ortofotomapą. W pobliżu polany widniały niewielkie zabudowania, do których prowadziła wąska droga. Na starszej warstwie kartograficznej ich otoczenie wyglądało inaczej. Zaznaczyłam różnice, ale nie potrafiłam rozstrzygnąć, które z nich miały znaczenie.

Telefon zawibrował.

Nieznany numer.

„Jutro na grzbiecie może być ślisko. Weź lepsze rękawiczki niż dzisiaj. Szczepan".

Przeczytałam wiadomość dwa razy.

„Moje rękawiczki były odpowiednie".

Odpowiedź przyszła niemal natychmiast.

„Do trzymania telefonu. Nie do chwytania mokrych poręczy".

Uśmiechnęłam się do ekranu.

„Czy zawsze oceniasz wyposażenie swoich współpracowników?"

„Tylko tych, którzy próbują negocjować z grawitacją".

Oparłam się wygodniej na krześle.

„Do zobaczenia o dziewiątej".

Przez chwilę trzy kropki sygnalizowały, że pisze odpowiedź. Potem zniknęły. Wreszcie pojawiły się słowa:

„Do jutra, Kaja. I nie pracuj do północy".

Spojrzałam na zegarek. Była dwudziesta trzecia czterdzieści osiem.

Nie miał prawa wiedzieć, jak wyglądał mój wieczór. Prawdopodobnie po prostu zgadywał. Mimo to poczułam się zauważona w sposób, którego nie zapewniały ani zawodowe pochwały, ani kolejne podpisane umowy.

Zamknęłam komputer, lecz przed snem wróciłam jeszcze do papierowej mapy.

Na jej środku przebiegała czerwona linia, którą rysowałam przez wiele tygodni. Znałam każdy zakręt i każde przewidywane miejsce odpoczynku. Byłam z niej dumna.

Teraz, po jednym dniu w terenie, musiałam przyznać, że nie wszystkie odpowiedzi znajdowały się tam, gdzie je umieściłam.

Najbardziej niepokoiło mnie jednak coś innego.

Nie wiedziałam, czy bardziej zależało mi na obronie własnego projektu, czy na tym, żeby jutro znowu zobaczyć człowieka, który tak skutecznie podważał moją pewność.

Rozdział 2 - Miejsca, do których wracamy

Następnego ranka przyjechałam do Rytra kwadrans przed umówioną godziną. Miałam nowe rękawiczki, termos z kawą i postanowienie, że przez cały dzień będę zachowywać się jak rozsądna profesjonalistka.

Ostatnie okazało się najtrudniejsze.

Szczepan już czekał przy moście. Stał oparty o samochód i rozmawiał przez telefon, gestykulując oszczędnie wolną dłonią. Kiedy mnie zobaczył, skinął głową, ale nie przerwał rozmowy. Dopiero po chwili usłyszałam jego końcowe zdanie.

— Przyjadę po południu. Jeśli trzeba będzie coś przenieść, zrobię to przed zmrokiem.

Schował telefon i podszedł do mnie.

— Dzień dobry, pani kartograf.

— Dzień dobry, panie przewodniku.

Spojrzał na moje rękawiczki.

— Widzę postęp.

— Kupiłam je z własnej woli.

— Oczywiście.

— I nie oczekuję komentarza.

— W takim razie powstrzymam się od pochwały.

Był w znakomitym humorze. Zazdrościłam mu tej swobody, ponieważ sama spałam niewiele ponad pięć godzin. Przed zaśnięciem sprawdziłam jeszcze trzy warianty trasy, dwa razy przeczytałam umowę i raz zastanowiłam się,

czy wypadało mi napisać do Szczepana coś niezwiązanego z pracą.

Na szczęście nie napisałam.

— Zaczniemy od ścieżki prowadzącej na grzbiet — oznajmił. — Potem zejdziemy przez starszy odcinek drogi. Chciałbym, żebyś porównała oba warianty.

— A ja chciałabym ustalić zasady, zanim znowu zaczniemy spierać się nad mapą.

Uniósł brwi.

— Przygotowałaś regulamin?

— Prawie.

Wyjęłam notes. Nie śmiał się, choć widziałam, że miał ochotę.

— Po pierwsze, każda propozycja zmiany musi mieć uzasadnienie. Po drugie, nie usuwamy odcinka tylko dlatego, że komuś się nie podoba. Po trzecie, informacje istotne dla projektu przekazujemy sobie od razu.

— Brzmi dobrze.

— I po czwarte, jeśli chcemy rozmawiać o prywatnych sprawach, robimy to poza oficjalnymi ustaleniami.

Teraz naprawdę się uśmiechnął.

— To ostatnie jest szczególnie interesujące.

— Dlaczego?

— Bo nie wiedziałem, że planujesz rozmowy o prywatnych sprawach.

Poczułam, jak robi mi się gorąco pod kołnierzem kurtki.

— Nie planuję. Chcę uniknąć nieporozumień.

— Rozumiem.

— Szczepan.

— Kaja.

Patrzył na mnie tak spokojnie, że zaczęłam podejrzewać, iż doskonale rozumiał, co próbowałam ukryć.

— Możemy już iść? — zapytałam.

— Możemy.

Nowy wariant okazał się znacznie lepszy, niż oczekiwałam. Prowadził łagodnym zboczem, przecinał niewielką polanę i łączył się z istniejącym oznakowanym szlakiem. Nie miał spektakularnych widoków, które lubili wydawcy przewodników, ale oferował coś równie cennego: naturalny rytm marszu.

Szczepan pozwolił mi prowadzić. Kiedy dochodziliśmy do rozstajów, nie wskazywał automatycznie właściwej drogi. Czekał, aż sprawdzę przebieg, ocenię teren i podejmę decyzję. Dopiero później przedstawiał swoje uwagi.

Po godzinie zaczęłam rozumieć, że robił to świadomie.

— Nie musisz mnie testować — powiedziałam.

Zatrzymał się.

— Nie testuję cię.

— Wczoraj znałeś odpowiedź na każde pytanie. Dzisiaj nagle udajesz, że nie wiesz, dokąd iść.

— Bo dzisiaj sprawdzamy, czy ktoś, kto nie zna terenu, będzie potrafił odnaleźć drogę.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

— Czyli jestem uczestniczką próby?

— Jesteś projektantką trasy, która musi spojrzeć na nią oczami przyszłego turysty.